

Pięciu nastolatków z marzeniami
JEDNA MROCZNA PRAWDA

PETER MAY
NA GIGANCIE



PROLOG

Londyn

Budzi się zlany zimnym potem ze snu pełnego ciemności i krwi. Spędziwszy życie jako ktoś inny na obcej ziemi, zastanawia się, kim jest teraz. Ten człowiek, który gaśnie zbyt szybko, o czym wie doskonale. Życie zmarnowane dla utraczonej miłości. Życie, które upłynęło w mgnieniu oka.

Trzy minione tygodnie od chwili powrotu na to wybrzeże wydają się najdłuższe w owym życiu. Dziwne, że ból i strach rozciągają czas poza wyobrażalne granice, podczas gdy szczęście dobiega niemal końca, nim się jeszcze zacznie. I z dawno zapomnianej przeszłości, zagubionej w pyłe szkolnej kredy i ciepłym mleku, powraca wrażenie względności. Trzymaj dłoń na rozgrzanym piecu przez minutę, a wyda się ona godziną. Siedź z ładną dziewczyną przez godzinę, a wyda się ona minutą.

Przybył tu drogą morską. Promem z Calais. Symboliczna reminiscencja tamtego dnia, tak dawno temu, kiedy w wiosennej mgle sterował łodzią ku obcemu brzegowi. Chwila niepokoju przy kontroli paszportowej. Serce omal mu nie zamarło, gdy urzędnik imigracyjny otworzył jego paszport. Ale obejrzał dokument tylko pobieżnie. Ponieważ, oczywiście, nikt go już nie szukał. Po tylu latach? On, stary człowiek, błady, z kropel-

kami potu na czole, został przepuszczony bez problemu. Oto, kim jest. Kimś obcym, tu i teraz.

W małym, nędznym pokoiku, który wynajmuje, jest ciemno i gorąco, zaciągnięte zasłony odgradzają go od świateł miasta i uporczywego mamrotania ruchu ulicznego wdzierającego się w jego sny. Skąpe resztki iluminacji formują cienie, a on uświadamia sobie po raz pierwszy, że coś go obudziło. Szósty zmysł ostrzega go nagle, że nie jest w tym pokoju sam.

Wystraszony siada na łóżku.

– Kto tam?

Przez chwilę panuje cisza.

A potem z ciemności dobiega głos, słowa niczym rękawice bokserskie, które wymierzają mu miękkie ciosy w głowę.

– Spokojnie, mój przyjacielu. Najwyższy czas, byśmy porozmawiali. – Brzmi to łagodnie, prawie pocieszająco.

Domyśla się natychmiast, kto to jest.

– Jak mnie znalazłeś?

Tamten się uśmiecha. Można to niemal wyczuć.

Potem znowu ten głos, protekcyjny, niemal karcący.

– Simonie, Simonie. Wystarczyło cię śledzić, kiedy wyszedłeś z restauracji. – Oddech. – Jak, u licha, zdołałeś się ukrywać tyle czasu?

– Czego chcesz? Czy nie dałem do zrozumienia, o co chodzi?

– Dałeś, wyraźnie.

– Więc o czym tu mówić?

Od cieni odrywa się kształt postaci ludzkiej i nagle nad nim majaczy.

– O śmierci, oczywiście.

Simon raczej słyszy, niż dostrzega ruch. Szelest bawełny. A potem czuje na szyi miękkiego, chłodnego dotyku sznura, który zaciska się z niespodziewaną szybkością i zajądłością. Brakuje

czasu, by krzyknąć. Jego ręce chwytają nadgarstki napastnika, ale natychmiast pojawia się świadomość, że jest zbyt słaby, by cokolwiek powstrzymać. Mimo wszystko nie zaprzestaje walki. Nie po to tu wrócił. Jednakże wszelka siła, jaka mu jeszcze pozostała, nieubłaganie zanika. W odległości kilku centymetrów widzi twarz. Resztki światła w pokoju odbijają się w znajomych niegdyś oczach. Okrutnych teraz, przepelnionych nienawiścią. Czuje na twarzy oddech niczym technicznie wieczności. Nim pojawi się czerń, by na zawsze stłumić jasność i życie.

Bezwładna postać uwolniona przez zabójcę osuwa się na łóżko, krucha od podeszłego wieku, ale cięższa o brzemie śmierci. Trzask włącznika, który rozlega się w ciemności, wydaje się ogłuszający, a światło, które pada teraz na łóżko, mogłoby przyprowadzić o szok, jak martwy człowiek.

Dłonie w lateksowych rękawiczkach rozwiązują i rozkładają na wciąż cieplej pościeli brezentowe zawiniątko. W zestawie pięciu błyszczących, sterylnych skalpeli odbija się blask lampki. Materiał koszuli nocnej Simona na jego lewym przedramieniu zostaje podwinięty, jeden ze skalpeli starannie wybrany. Wszystko to dokonuje się z niezachwianą pewnością człowieka, który wie, że ma mnóstwo czasu.

Uważnie, z doskonale wyćwiczoną biegłością, zabójca zaczyna wycinać kawałek skóry z przedramienia. Niewiele jest krwi, która mogłaby splamić łóżko. Serce już dawno porzuciło wszelkie próby jej tłoczenia w szybko stygnące ciało Simona.

2015

ROZDZIAŁ 1

Glasgow

I

Jack wysiadł z autobusu przy końcu Battlefield Road i prześladowany złym przecuciem, podniósł głowę ku ciemniejącemu niebu. Dostrzegł posępną sylwetkę brudnego od dymu szpitala Wiktorii, który wznosił się na wzgórzu nad polem bitewnym, gdzie Maria, królowa Szkotów, została niegdyś pokonana przez Jakuba IV, i przeszedł go dreszcz.

Wiedział, że właściwie nie potrzebuje już laski. Odzyskał siły, a rokowania po przebyciu niegroźnego zawału były dobre. Dieta, którą mu zalecono, obniżyła poziom cholesterolu, a codzienne spacerowanie – jak twierdzono – zapewniały więcej korzyści niż godzina na siłowni.

Mimo wszystko przywykł ufać swej lasce, jak staremu przyjacielowi. Lubił dotyk mosiężnej rączki w kształcie sowy, przylegającej do wnętrza dłoni; zapewniała równowagę i dawała poczucie pewności. Była niezmienna, w przeciwieństwie do wszystkiego, co go otaczało.

Zniknęła stara szkoła Queen's Park, opuszczona, a potem strawiona przez pożar i w końcu zburzona. Tak jak The Battlefield Rest, ze swoimi zielonymi i kremowymi płytami i wieżą

zegarową, niegdyś kiosk z prasą i poczekalnia tramwajowa, teraz włoska restauracja. Biblioteka Langside wzniesiona z czerwonego piaskowca, ostatni dar Carnegiego, wciąż stała na swoim miejscu, ale sam szpital – w jego przypadku pełen wspomnień z lat dzieciństwa i tych niedawnych – miał być niebawem zamknięty na rzecz – nowego Southern General.

Kiedy był dzieckiem, usunięto mu tutaj migdałki. Wciąż pamiętał zapach gumy, gdy położono mu maskę na twarzy, żeby go uspić na sali operacyjnej, i smugę światła w nocy pod drzwiami dwuosobowego pokoju, tajemnicze cienie sunące tam i z powrotem na korytarzu jak mroczne demony nawiedzające jego młodą wyobraźnię.

Lecz kiedy wszedł do obskurnego i pomalowanego na zielono holu i odetchnął przygnębiającą szpitalną wonią środków antyseptycznych, niemal przytłoczyło go jedno tylko wspomnienie – śmierć matki.

Te ciemne zimowe wieczory, które spędzał przy jej łóżku, gdy czasem cierpiała, a czasem była prawie nieprzytomna, a raz nawet leżała we własnych odchodach. I wreszcie noc, gdy zjawił się i zobaczył, że jej łóżko jest puste. Siostra oddziałowa powiedziała mu, że przeniesioną ją do innego budynku.

Uplęnęło trochę czasu, nim ją znalazł. A wtedy miał wrażenie, że wkroczył na scenę, na której ma się rozegrać jakiś koszmarny finał dramatu. Przepastna sala wiktoriańska, chaos łóżek i parawanów, smugi światła ledwie przenikające mrok. Chwyła go za rękę, przerażonego jękami i krzykami niewidocznych pacjentów.

– Przenieśli mnie tutaj, żeby umarła – wyszeptała. A po chwili: – Nie chcę odejść w samotności.

Siedział przy niej tak długo, jak mu pozwolono. Potem czas odwiedzin dobiegł końca i powiedzieli mu, że musi się zbie-

rać. Chciała, żeby z nią został. Widział ją wtedy po raz ostatni; odwrócił się i dojrzał w jej oczach strach.

Nazajutrz rano pod jego drzwiami zjawił się policjant. W szpitalu zawieruszyli numer telefonu – jak zwykle, ilekroć go zostawiał w recepcji. Matka zmarła w nocy. Sama, tak jak się obawiała, co zrodziło w nim uporczywe poczucie winy, którego nigdy się nie pozbył.

. . .

Dowiedział się, że Maurie ma raka, choć w gruncie rzeczy nie widzieli się od lat. I gdy zadzwonił rabin, by poinformować, że Maurie chce go widzieć, Jack dowiedział się przy okazji, że jego stary przyjaciel doznał też poważnego zawału serca. Nie był jednak przygotowany na spotkanie z cieniem człowieka wspartego na poduszkach szpitalnego łóżka.

Maurie zawsze miał skłonność do nadwagi, nawet jako nastolatek. Potem, dzięki dostatniemu życiu, które zapewniała przynależność do palestry Glasgow – i biznes radcy prawnego, który pozwolił mu zdobyć małą fortunę – lekka nadwaga przeordziła się w otyłość.

Teraz na jego kościach wisiała jedynie skóra, krągła niegdyś twarz wydawała się koszmarnie wychudzona, czaszka upstrzona plamkami starości była na skutek chemioterapii całkowicie pozbawiona włosów. Wyglądał o dwadzieścia lat starszej od Jacka, który zbliżał się do siedemdziesiątki. Jakby Maurie należał do poprzedniego pokolenia.

Jego brązowe oczy wciąż jednak płonęły intensywnością, która przeczyła wyglądowi. Do rąk i twarzy miał podłączone rurki, ale sprawiał wrażenie, że jest tego nieświadomy, kiedy ożywiony nagle przybyciem przyjaciela, dźwignął się do pozycji siedzącej. Jack dostrzegł w jego uśmiechu dawnego Mauriego. Figlarnego, bystrego, zarozumiałego. Urodzonego

showmana, pewnego siebie i przebojowego na scenie, człowieka, który wie, że ma wspaniały głos i że bez względu na to, ilu ich jest w zespole, to właśnie on skupia na sobie wzrok widowni.

Przy nogach łóżka siedziały dwie pielęgniarki i oglądały *Coronation Street*.

– Idźcie, idźcie – zwrócił się do nich niecierpliwie. – Mamy tu do omówienia prywatne sprawy.

Jack był poruszony tym, jak słabo brzmi ten niegdyś mocny głos.

– Zamknij drzwi – nakazał mu Maurie, kiedy obie wyszły. – Płacę za tę cholerną telewizję, a one oglądają ją częściej ode mnie.

Uwielbiał odgrywać żyda, ale nigdy nie traktował tego poważnie. Albo tak się Jackowi wydawało. „Mój naród”, o którym zawsze mówił z szelmowskim błyskiem w oku. Cztery tysiące lat historii robiło jednak swoje. Jack dorastał w konserwatywnej protestanckiej rodzinie, w południowej części Glasgow, więc kiedy zaczął bywać w domu Mauriego, wydał mu się on dziwny i egzotyczny. Karp na słodko i maca. Nauka wiary po lekcjach, synagoga w niedzielę i bar micwa, gdy żydowski chłopiec osiągał pełnoletniość. Świece płonące w menorze, dwie w oknie w wigilię szabatu i osiem podczas święta chanuki. Mezuzah przytwierdzona do drzwi.

Relacje Mauriego z rodzicami sprowadzały się do tego, że im głośniejszy, tym skuteczniejszy, co początkowo Jacka szokowało. Miał wrażenie, że bezustannie toczą ze sobą wojnę – zawsze krzyczeli – nim uświadomił sobie, że to u nich normalne.

Maurie uśmiechnął się szeroko.

– Nie zmieniłeś się ani trochę.

– Kłamca!

Przyjaciel Jacka przestał się uśmiechać i chwycił go za nad-

garstek zadziwiająco mocnymi palcami.

– Musimy wrócić – oznajmił przyciszonym głosem.

Jack zmarszczył czoło.

– Wrócić... dokąd?

– Do Londynu.

– Do Londynu? – Nie miał pojęcia, o czym przyjaciel mówi.

– Jak wtedy, kiedy byliśmy młodymi chłopakami.

Upłynęła dłuższa chwila, nim do zaskoczonego Jacka dotarło, o co chodzi.

– Maurie, od czasu naszej ucieczki do Londynu minęło cholernych pięćdziesiąt lat.

Ale Maurie tylko mocniej zacisnął kościste palce na jego nadgarstku, sprawiając mu niemal ból. Oczy spoglądały pewnie, przykuwając wzrok przyjaciela, a w głosie pobrzmiwała władcza nuta.

– Flet nie żyje.

Jack znów poczuł się zdezorientowany. Czy słowa Mauriego były skutkiem leków?

– Kto to jest?

– Wiesz przecież! – oznajmił z uporem Maurie. – Oczywiście, że wiesz. Pomyśl, na litość boską! Pamiętasz. Simon Flet. Aktor.

Jack nagle poczuł, jak wraca mu pamięć, zimna i przygnębiająca. Wspomnienia pogrzebane od tak dawna, że ta nagła ekshumacja wydała się niemal przerażająca. Potrzebował chwili, by się otrząsnąć.

– Ale Flet nie żyje pewnie od lat.

Maurie pokręcił głową.

– Trzy tygodnie temu. – Wyciągnął z wysiłkiem rękę i wyjął z szafki przy łóżku złożony egzemplarz szkockiego „Heralda”, a potem przycisnął gazetę do piersi przyjaciela. –

Zamordowany. Udużono go w jakiejś obskurnej norze na londyńskim East Endzie.

Przypominało to otwarcie grobu z dawno pochowanymi zwłokami; woń nagłego nieprzyjemnego wspomnienia sprawiła, że Jack zacisnął zęby, jakby bał się odetchnąć skażonym powietrzem.

Maurie nachylił się ku niemu, zniżając głos niemal do szeptu.

– To nie Flet zabił tego młodego zbira.

Jack nie krył przerażenia.

– Owszem, on – powiedział.

– Nie! Tylko ja widziałem, co się stało. Więc tylko ja wiem.

– Ale... Maurie, jeśli to prawda, dlaczego nigdy o tym nie mówiłeś?

– Bo nie było potrzeby. Uważałem, że to sekret, który zabiorę ze sobą do grobu. – Maurie dźgnął palcem gazetę. – Ale to zmienia wszystko. Wiem, kto w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym piątym popełnił morderstwo. I jestem cholernie pewien, kto zabił biednego Simona Fleta. – Wziął głęboki oddech, który zdawał się drzeć w jego krtani, jakby tkwił w niej uwięziony motyl. – Co oznacza, że muszę tam wrócić, Jack. Nie mam wyboru. – Przez chwilę spoglądał gdzieś w dal, zagubiony w jakimś smutnym wspomnieniu. Potem znów skupił cały swój żal na Jacku. – Nie pozostało mi wiele czasu... a ty będziesz musiał mnie tam zabrać.

II

W kącie pokoju, oparta o ścianę, stała gitara akustyczna. Gibson. Po warstwie kurzu na pasku Jack mógł się jednak zorientować, że Dave już od dawna na niej nie grał. Była tam

po prostu, jak przypomnienie straconej młodości i zawiedzionych ambicji zrodzonych w epoce marzeń.

Dave stracił na wadze i Jack domyślił się, że dawny przyjaciel prawie nie jada. Choć się zarzekał, że nie pije, Jack czuł zapach alkoholu. Cały pokój śmierdział zastarzałym alkoholem.

Dave zauważył, że Jack patrzy na gitarę.

– Dojrzewa z upływem lat – powiedział, spoglądając na nią. – Starzeje się jak dobre wino.

– Kiedy ostatni raz grałeś?

– Och...

Jack zorientował się, że Dave chce skłamać, ale po chwili jakby się rozmyślił.

– Jakiś czas temu – odparł i przesunął smętnie kciukiem po niezrogowaciałych koniuszkach palców lewej dłoni. – Zdu-miewające, jak szybko miękną. – Popatrzył na Jacka, nieogoloną twarz wykrzywił smętny uśmiech. – I jak szybko stają się wrażliwe na ból, gdy znów się zaczyna.

Jack rozejrzał się po pokoju. Firanki za zaciągniętymi do połowy zasłonami. Pojedyncze łóżko przy ścianie. W rogu telewizor. Dwa wytarte fotele przy starym, wykładanym płytkami kominku. Kiedyś była to sypialnia rodziców Dave'a. Dom odziedziczony wraz ze śmiercią jego owdowiałej matki, wybrany jako miejsce, w którym doczekałby się własnej rodziny. Dom pełen mrocznych, brutalnych wspomnień, których nie wymazałoby nawet powołanie na świat nowego życia. Dom skazany na smutek. Żona, która odeszła w poszukiwaniu szczęścia, syn podrzucony jak kukułcze jajo. Dave zmagający się z nałogiem w ścianach pokoju, z którego miał być niebawem usunięty na dobre, w co Jack nie wątpił. Do domu starców albo ośrodka z całodobową opieką, jak on.

Dave nachylił się w fotelu i spojrzął na niego w zamyśleniu.

– Więc Maurie nie pociągnie już długo?
– Nie wydaje mi się. Wyglądał okropnie, Dave. Naprawdę koszmarne.

– Jak sobie wyobraża tę podróż do Londynu?

– Chce, żebyśmy go zawieźli – wyjaśnił Jack.

Dave parsknął ponurym śmiechem.

– Tak, akurat się do tego nadajemy! – Przez chwilę wydawało się, że jego blade, suche wargi wykrzywią się w ironicznym grymasie. – Nie kapuję, dlaczego mówi nam dopiero teraz, że to nie Flet zabił tego faceta.

Jack wyjął zwinięty egzemplarz „Heralda”.

– To przez tę historię z morderstwem Fleta.

Usłyszeli, jak ktoś otwiera, a potem zamyka drzwi wejściowe; po chwili w korytarzu załomotały ciężkie kroki. Drzwi pokoju Dave’a otworzyły się i na progu stanęła kobieta w średnim wieku. Dyszała ciężko, patrząc na obu wściekłym wzrokiem. Jack pomyślał, że kiedyś mogłaby być atrakcyjna, gdyby nie te usta ułożone w podkowę, wyraz jej osobowości. Z drugiej strony, kto inny wyszedłby za syna Dave’a? Była w starannie wyprasowanych czarnych spodniach i krótkiej szarej kurtce zarzuconej na białą bluzkę. Jej twarz przywodziła na myśl zsiadłe mleko.

Skupiła spojrzenie na Davie.

– Wróciłeś – zauważyła sucho.

– Spostrzegawczość zawsze stanowiła twoją mocną stronę.

Zacisnęła złośliwe usta.

– Znalazłam twój zapas.

Jack dostrzegł, jak bardzo ta wiadomość rozczarowała jego przyjaciela. Dave starał się jednak tego nie okazywać.

– Skąd wiesz, że to nie było Donniego?

– Nie obchodzi mnie, czyje to było. Wszystko wylądowało w zlewie. – Uniosła kąciki ust w nieznacznym uśmiechu i zer-

knęła na Jacka. – Byłabym zadowolona, gdybyś nie sprowadzał tu kumpli od kieliszka.

Jack zjeżył się, wstał i wsunął gazetę do kieszeni.

– Może powinniśmy kontynuować tę rozmowę gdzie indziej, Dave. Paskudnie tu cuchnie.

Dave dźwignął się z fotela.

– Tak, masz rację. Ktoś jej powinien powiedzieć, żeby nie nosiła nylonów. – Skrzywił się, patrząc na synową. – A następnym razem, jak zechcesz wejść do mojego pokoju, to, kurwa, pukaj, dobra?

. . .

Pojechali autobusem do Queen's Park. Jack miał umówioną wizytę u stomatologa i nie chciał się spóźnić.

– Cholernie daleko jeździsz do tego dentysty – zauważył Dave.

– Rodzinna tradycja sięgająca całe pokolenie wstecz. Jego ojciec leczył zęby mojemu ojcu. No i nazwisko, które zawsze mnie śmieszy. Listerine.

– Ha! – Dave się roześmiał. – To tak, jakby elektryk nazywał się Amper.

Wysiedli przy Shawlands Cross i Dave zaproponował, żeby poszli do baru Corona. Jack jednak skierował go na drugą stronę ulicy, do parku, sugerując, by posiedzieli nad stawem, gdzie nikt nie będzie im przeszkadzał.

Znaleźli wolną ławkę przy ścieżce prowadzącej do ołowianoszarego stawu, gdzie ojciec Jacka bawił się niegdyś jako chłopiec. Czasem pływały tam kaczki, ale tego dnia, o dziwo, widać było głównie mewy. Może zwiastowały nadciągającą burzę.

Był wczesny kwiecień, ale wiatr wciąż przynosił chłód; obaj mężczyźni okrywali się starannie zimowymi płaszczami

i szalikami. Dave nosił wełnianą czapkę z daszkiem. Naciągał ją głęboko na czoło, kryjąc wyraziste niegdyś rysy, które rozmyły się i nabrały żalobnego wyrazu. Luźna skóra na chudej twarzy. Włosy Jacka, choć całkowicie srebrzyste, wciąż były bujne i starannie ułożone, a próżność nie pozwalała mu nosić kapelusza psującego fryzurę. Dave był wysoki, o dobre siedem centymetrów wyższy od przyjaciela; siedząc obok siebie na ławce, stanowili osobliwą parę. Jak podpórki na książki, pomyślał Jack, w którego pamięci odezwał się na chwilę refren piosenki.

– Pokaż – powiedział Dave, wkładając okulary w rogowych oprawkach, po czym rozłożył gazetę.

Jack stuknął palcem w artykuł u dołu pierwszej strony i Dave zaczął głośno czytać. Tak jak kazano im robić w klasie, kiedy siedzieli rzędami, czytając po kolei fragmenty jakiegoś nudnego podręcznika do historii, jakby na tym miała polegać nauka.

– *Zamordowany po pięćdziesięciu latach spędzonych w ukryciu.* – Dave podniósł wzrok znad nagłówka. – *Pięćdziesiąt lat! Wystarczy szybko wymówić, a wydaje się, że minęło jak z bicia trzasł.* – Znowu skupił uwagę na gazecie. – *Gwiazdora filmowego z lat sześćdziesiątych, Simona Fleta, który zniknął w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym piątym po tym, jak zathukł na śmierć człowieka podczas narkotykowej imprezy w londyńskiej dzielnicy West End, znaleziono martwego w Stepney w wynajętym pokoju.*

Odkrycia dokonano dwa tygodnie temu, kiedy najemczyni była zmuszona włamać się do pokoju. Ciało siedemdziesięcioczworoletniego mężczyzny, zaginionego od pół wieku, leżało na łóżku. Został uduszony. Policja twierdzi, że nie żył już od tygodnia.

Jego tożsamość potwierdziły jednak dopiero wczoraj bada-

nia DNA.

Po zabójstwie w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym piątym Flet uciekł z domu w Kensington, należącego wówczas jak i obecnie do doktora Cliffa Roberta, który w dowód uznania za zasługi na polu medycyny ma otrzymać w tym roku tytuł szlachecki.

Choć przypuszczano, że Flet utonął podczas próby ucieczki do Francji na pokładzie małego jachtu cumującego na jednej z przystani w Portsmouth, nigdy nie znaleziono jego ciała ani łódki. Przez dziesiątki lat uporczywie pojawiały się pogłoski, że rzekomo żyje, wraz z doniesieniami z całego świata, że był „widziany”. Tajemnica zaginionego aktora wzbudzała jeszcze większą ciekawość niż zniknięcie prawie dziesięć lat później lorda Lucan i była wielokrotnie opisywana.

Dave nachylił się w stronę Jacka; jego twarzy wyrażała głębokie powątpiewanie.

– Jak to możliwe?

– Co?

– DNA. W tamtych czasach tego nie było. Skąd wzięliby próbkę DNA Fleta, nawet gdyby wiedzieli, kogo ma dotyczyć test? – Milczał przez chwilę. – I skąd, do cholery, mieliby o tym wiedzieć?

Jack wziął gazetę do ręki. Grzebał przez moment w kieszeniach, potem cmoknął poirytowany.

– Daj mi swoje okulary.

Dave zsunął je z nosa, ale ich nie oddał.

– Zaraz. Masz większą głowę ode mnie. Wygniesz mi oprawkę.

Jack wyrwał mu okulary i nasadził na nos. Powiódł wzrokiem po artykule i zaczął głośno czytać:

– *Początkowo policja nie mogła w żaden sposób ustalić tożsamości denata. Śledczych zaintrygował jednak niewielki*

płat skóry wycięty z lewego przedramienia. Doszli do wniosku, że zabójca próbował usunąć jakiś znak szczególny. Przesłuchania właścicielki domu i innych lokatorów ujawniły, że ofiara miała na tym przedramieniu mały tatuaż w kształcie drozda. To z kolei zaowocowało intensywnymi poszukiwaniami w kartotekach dotyczących spraw badanych obecnie, jak i niewyjaśnionych. Okazało się w końcu, że wystarczyło poszukać po prostu w internecie, by znaleźć wzmiankę o podobnym tatuażu w artykule napisanym dziesięć lat wcześniej, a dotyczącym tajemniczego zniknięcia aktora Simona Fleta.

Spojrzał na Dave'a.

– Przypominasz sobie, żebyś go kiedykolwiek widział? Chodzi mi o tatuaż.

Posępność na twarzy Dave'a dowodziła, że sobie przypominał; skinął głową.

Jack czytał dalej:

– To z kolei doprowadziło policję do domu młodszej siostry Fleta, Jean, nadal żyjącej. Wciąż miała kosmyk włosów brata, odcięty przez jego matkę, gdy był niemowlęciem, i zachowany dla potomności, co było w tamtych czasach modne. Badania porównawcze DNA potwierdziły tożsamość denata.

Zdjął okulary, a Dave chwycił je czym prędzej, po czym włożył, by sprawdzić, czy ze szklami jest wszystko w porządku.

– No tak! Wykrzywiłeś mi oprawkę!

Ale Jack nie słuchał. Spoglądał ponad wodą i ruchem ulicznym na Pollokshaws Road na szeregowie domy z piaskowca.

– Wiesz, urodziłem się tam.

Dave podążył za jego wzrokiem.

– He?

– Marywood Square. W prywatnej klinice położniczej. Tak to się wtedy załatwiało. Zaledwie kilkaset metrów od

Springhill Gardens, gdzie dorastał mój tata. – Jack znów powiódł spojrzeniem wzdłuż ulicy, w stronę kwartału czerwonych kamienic czynszowych skupionych wokół zarośniętego ogrodu. – Zabawne. Kiedy poszedłem odwiedzić wczoraj Mauriego, przypomniałem sobie, jak wycinali mi migdałki w szpitalu Wiktorii. – Popatrzył na Dave’a. – Ale pamiętam też, jak ojciec mi opowiadał, że jemu migdałki wyciął lekarz, który przyszedł do nich do domu i zrobił to na kuchennym stole. Wyobrażasz sobie? Teraz to pachnie średniowieczem.

Dave sapnął zniecierpliwiony.

– Co to ma wspólnego z tym? – Stuknął palcem w artykuł. Jack wzruszył ramionami.

– Nic. Po prostu... gdzie one się podziały, Dave?

– Co się podziało?

– Lata. Marzenia. – Z bladym uśmiechem odwrócił się do przyjaciela. – Nigdy nie myślałem, że się zestarzeję, Dave. Nigdy nie czułem się stary. Tak naprawdę. Zawsze byłem w głębi serca chłopcem. Aż do teraz. – Po chwili w jego bladoniebieskich oczach pojawiło się skupienie. – Co zrobimy?

– Chodzi ci o Mauriego?

Jack skinął głową.

– Może obaj powinniśmy się z nim spotkać. Nie może oczekiwać, że ruszymy w idiotyczny pościg za cieniem, bo na łożu śmierci coś sobie uroił.

– Nie – przyznał Jack, uśmiechając się. – Nie byłoby to zbyt odpowiedzialne, prawda?

Z pobliskiej podstawówki wylał się strumień dzieci wprost na zimne popołudnie; ich krzyki i śmiechy wznosiły się ponad hałasem ruchu ulicznego na Pollokshaws Road. Przy wodzie zebrała się grupka młodych ludzi, którzy próbowali złapać coś w sieć, nad ich głowami furkotały gołębie. Wokół placyku zabaw, w cieniu wciąż nagich drzew, stały matki z wózkami,

a czerwień piaskowca kamienic czynszowych odcinała się ostro i wyraźnie od chłodnego błękitu nieba.

Jack i Dave ruszyli ku bramie parku. Dwóch starszych mężczyzn, ludzkie cienie, które przeżyły już swoje życie i nie mają się czym pochwalić, niewidoczne dla dzieci i ich młodych matek. Na skrzyżowaniu Pollokshaws Road i Balvicar Street uścisnęli sobie ręce i Dave skierował się w stronę przystanku, żeby złapać autobus do domu. Jack miał już niewiele czasu przed wizytą u dentysty, ale stał jeszcze przez chwilę, przyglądając się, jak przyjaciel mija przystanek i przechodzi przez ulicę, zmierzając do New Regent Bar. Znużony, odwrócił się w końcu ku Victoria Road.

III

Jack wysiadł z autobusu za Derby Café przy Netherlee. „Tallie”, jak się mówiło, kiedy byli dziećmi – jakaś zniekształcona forma słowa „Italian”, ponieważ wszystkie kafejki prowadzili wówczas Włosi. Derby, Boni’s przy Clarkston i jeszcze jedna przy Busby, nazwa wyleciała mu z głowy. Robili najlepsze lody. Pojedyncze orzechowe i podwójne, wafle i rożki. Zastanawiał się przez chwilę, czy określenie „Tallie” uznano by w dzisiejszych czasach za politycznie poprawne.

Minął szereg sklepów i znalazł się niedaleko szkoły podstawowej. Parking był prawie pusty, ale na trawie dzieciaki grały w piłkę, ich podniesione głosy płynęły między gałęziami gołych drzew, które dopiero puszczały pączki. Jakby na zasadzie kontrastu, parking przy domu opieki całodobowej był zajęty niemal do ostatniego miejsca. Niewielu pensjonariuszy miało samochody, ale w budynku zawsze przebywał personel, a także odwiedzający.